



OLIWIA TYBULEWICZ

KROPLA ŻYCIA

Oliwia Tybulewicz

Kropla Życia

© Copyright by Oliwia Tybulewicz & e-bookowo

Projekt okładki: Mateusz Kaczoruk

Korekta: Magdalena Rewers

ISBN 978-83-7859-784-1

Patronat medialny:



Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2017

Natalii, mojej pierwszej recenzentce

Rozdział I

Znacie to uczucie, gdy noc nie ma końca? Minuty ciągną się niczym śmietankowe krówki, a sekundy dzielnie im wtórują? To właśnie jedna z nich.

– Krew... Chcę krwi! – Mój kolejny klient kurczowo chwyta się lady, po czym paskudnie wykrzywia, ukazując przy tym imponujące, fachowo naostrzone kły.

Bynajmniej nieporuszona patrzę w jego zaczerwienione, podkrążone oczy.

– Mogę zaproponować kaszankę.

– Czy to mają być kpiny? – chrypi w odpowiedzi.

Wzdycham.

– Czarus, czystej krwi dziś nie ma i nie będzie. Dostawca nie dowiózł.

Widzicie, Czarek próbuje przekonać otoczenie, że jest wampirem. To oczywiście bzdura – nigdy nie był niczym więcej niż wilkołakiem. Już sam zapach go zdradza; jak wszystkim z jego rodzaju towarzyszy mu delikatna woń psa. Laik mógłby ją przeoczyć, ale ja się do nich nie zaliczam. Jak by nie patrzeć, pracuję w tej przyciągającej wszelkie podejrzane indywidua speluncie już trzeci rok i między innymi dlatego trudno mi zrozumieć, co on widzi w nieumarłych. To zimnokrwiste, podstępne stworzenia o hipnotyzującym spojrzeniu atakującego węża, tylko czyhające na chwilę nieuwagi potencjalnej ofiary. Widać biedak naczytał się modnych ostatnio romansideł dla nastolatek i ubzdurał sobie, że to doskonały sposób na podryw. Cóż, jeśli faktycznie na którąś z panienek to zadziała, to będzie ona, delikatnie mówiąc, idiotką. Musiałaby nią być, skoro w ogóle zamierzałyby rozważać romans z umarlakiem, który przy pierwszej okazji użyłby jej jako posiłku. Nie

oszukujmy się, wampiry nie słyną z silnej woli. To właśnie dlatego przed pójściem do pracy obwieszam się srebrną biżuterią.

Przyjmuję zamówienie i gdy jest gotowe, zanoszę je do stolika. Chwilę potem drzwi uchylają się ponownie, wpuszczając do środka zapach orzeźwiającego, nocnego powietrza. Tym razem wchodzi przez nie dwa elfy i zamawiają po porcji frytek. Założę się, że myśleliście, iż tacy jak oni piją jedynie czarodziejskie nektary. Wasz błąd. Oba biorą po największym kuflu piwa. Skurczybyki mają mocne głowy. Gdy przynoszę im zamówienie, chichoczą na widok naszych firmowych talerzy w kształcie półksiężyca. Pub nazywa się Luna i właściciel jest bardzo dumny ze swojej stylizowanej zastawy.

Nawiasem mówiąc, elfy ciągle chichoczą. Między innymi przez to za nimi nie przepadam. Nie pomaga też fakt, że wszystkich traktują z góry, najwidoczniej uważając się za najwyższą w hierarchii rasę. Na plus z kolei można zaliczyć im fakt, że raczej nie wszczynają bójek, czego nie można powiedzieć o reszcie naszej klienteli.

Pewnie zastanawiacie się, dlaczego w takim razie w ogóle tu pracuję. Odpowiedź jest prozaiczna: tak jakoś wyszło, choć zwykle ludzie omijają to miejsce szerokim łukiem, z uporem nie przyjmując jego istnienia do wiadomości. Za to wszyscy inni znajdują do nas drogę bez problemu.

Gdzie w związku z tym mieści się Luna? Na odludziu, w gęstym lesie, skutecznie ukryta przed oczami postronnych? Nic z tych rzeczy. Znajduje się w mieście, być może nawet Waszym, w okolicach centrum. Zastanawiacie się, jak to możliwe, skoro nigdy jej nie widzieliście? Ale czy próbowaliście tak naprawdę uważnie **patrzyć**? No właśnie. Uwagą ludzi steruje się żenująco łatwo.

I znów jestem sama. Z dwojga złego wolę, kiedy jednak mamy klientów – wtedy nadmiarowego czasu jest mniej, jakby nie starczało go dla wszystkich w lokalu.

Godzina. Dwie. Miarowe tykanie zegara. Powieki zaczynają mi ciążyć, a pasek od fartuszka wpija mi się w skórę, gdy na chwilę, dosłownie chwileczkę, kładę głowę na błacie. Budzi mnie trzasknięcie drzwiami. Momentalnie przytomnieję i widzę, że stoi przy nich młody, zgięty w pół mężczyzna w płaszczu. Jeden rzut oka wystarczy, by stwierdzić, że kurczowo trzyma się za udo, a między palcami przelewa mu się krew.

Odruchowo sięgam pod ladę, po ukryty tam pistolet z nabojami ze srebra, ale powstrzymuje mnie przyjemny w brzmieniu, przypominający aksamit głos nieznajomego.

– Przepraszam, że panią przestraszyłem. Miałem dość niefortunny wypadek.

Po chwili wahania odkładam broń, wyciągam położoną tuż obok niej apteczkę i ostrożnie zbliżam się do mężczyzny.

– Musimy oczyścić ranę.

– Dziękuję – mówi z wdzięcznością, wpatrując się we mnie ładnymi, brązowymi oczami.

Powiększam nożyczkami dziurę w jego nogawce i polewam zranione miejsce wodą utlenioną. Mężczyzna zaciska zęby, a ja dopiero w tym momencie uświadamiam sobie, że jest człowiekiem. Jak ja. Skoro nas znalazł, musiał mieć już do czynienia z istotami nadprzyrodzonymi.

– Gotowe – mówię, kończąc bandażować ranę.

– Dziękuję – powtarza.

Jest błady i wygląda tak, jakby miał za chwilę zemdleć, dlatego przynoszę mu filiżankę naszej firmowej lury, ambitnie zwanej kawą. Choć smakuje paskudnie, naprawdę stawia na nogi. Jego także.

– Może pan tu zostać, dopóki nie poczuje się pan lepiej – oferuję wielkodusznie. Nieznajomy mnie intryguje i chętnie dowiedziałabym się o nim czegoś więcej.

Z ulgą kiwa głową i wygodnie opiera się o kanapę.

– Należą się pani wyjaśnienia – odpowiada. – Jestem w podróży od kilku godzin. Zasnąłem za kierownicą i miałem drobny wypadek. Stąd rana.

Ze zdumienia szerzej otwieram oczy.

– Powinien pan natychmiast jechać do szpitala!

– Pojadę – obiecuje, uspokajająco kładąc swoją dłoń na mojej.

Normalnie w życiu bym na to nie pozwoliła klientowi naszego pubu, bo groziło to co najmniej utratą ręki, ale on jest inny, tak kojąco normalny. Zapada chwila milczenia, podczas której nieznanomy z ciekawością rozgląda się po wnętrzu lokalu. W oko wpadają mu pozostałości po lustrze, stłuczonym wczoraj przez dwie walczące rusałki i osmalony kąt lady (nie chcecie znać szczegółów).

– Czy to nie jest zbyt niebezpiecznie miejsce dla tak młodej dziewczyny jak pani? – pyta z troską, marszcząc czoło.

– Pewnie jest, ale radzę sobie.

– Musi być pani naprawdę niezwykłą kobietą.

– Albo po prostu mało rozsądną. – Wzruszam ramionami. – Czy mogę jeszcze jakoś panu pomóc?

Przez chwilę przygląda mi się z namysłem, po czym niepewnie kiwa głową.

– Tak. Miałem spotkać się z siostrą i przekazać jej starą rodzinną pamiątkę, ale przez wypadek nie zdążę tego zrobić. Czy mogłaby ją pani dla mnie przechować?

Nieufnie mrużę oczy, ale jego przystojna twarz wyraża jedynie szczere zmartwienie.

– Oczywiście jeśli to jakikolwiek problem...

– Nie, chętnie pomogę – decyduję.

Nieznajomy sięga do kieszeni płaszczka, z której wyciąga zawieszony na grubym łańcuchu i oprawiony w złoto nieznanym mi bordowy kamień.

– Tu będzie bezpieczna. – Uśmiecha się nieśmiało, zawieszając mi go na szyi. W momencie, gdy mnie dotyka, moją skórę oblewa fala gorąca. – Jeśli moja siostra nie zgłosi się w przeciągu tygodnia, wrócę po niego.

– Jak ją rozpoznam?

– To ona rozpozna panią, pani...

– Wioletto – dopowiadam, lekko się rumieniąc.

Młody człowiek nie rewanżuje mi się podaniem swojego imienia, zamiast tego wstaje i spogląda w stronę wyjścia.

– Robi się późno. Czas na mnie.

– Proszę na siebie uważać.

– Zamierzam. – Uśmiecha się ciepło i muska palcem mój policzek.